

# Po śladach

judaizm, protestantyzm, prawosławie w Wielkopolsce



# Synagogi w Wielkopolsce

Po wieloletniej koegzystencji społeczności polskiej i żydowskiej w Wielkopolsce pozostały pamiątki kultury materialnej. Ostatnie cmentarze i budynki świątyni. Synagogi zwane też bożnicami lub bóżnicami. Często zapomniane i nieobecne w naszej świadomości. Prawie wyparte z naszej pamięci historycznej. Kto dziś wie, że w Wielkopolsce zachowało się aż 45 budynków synagog?

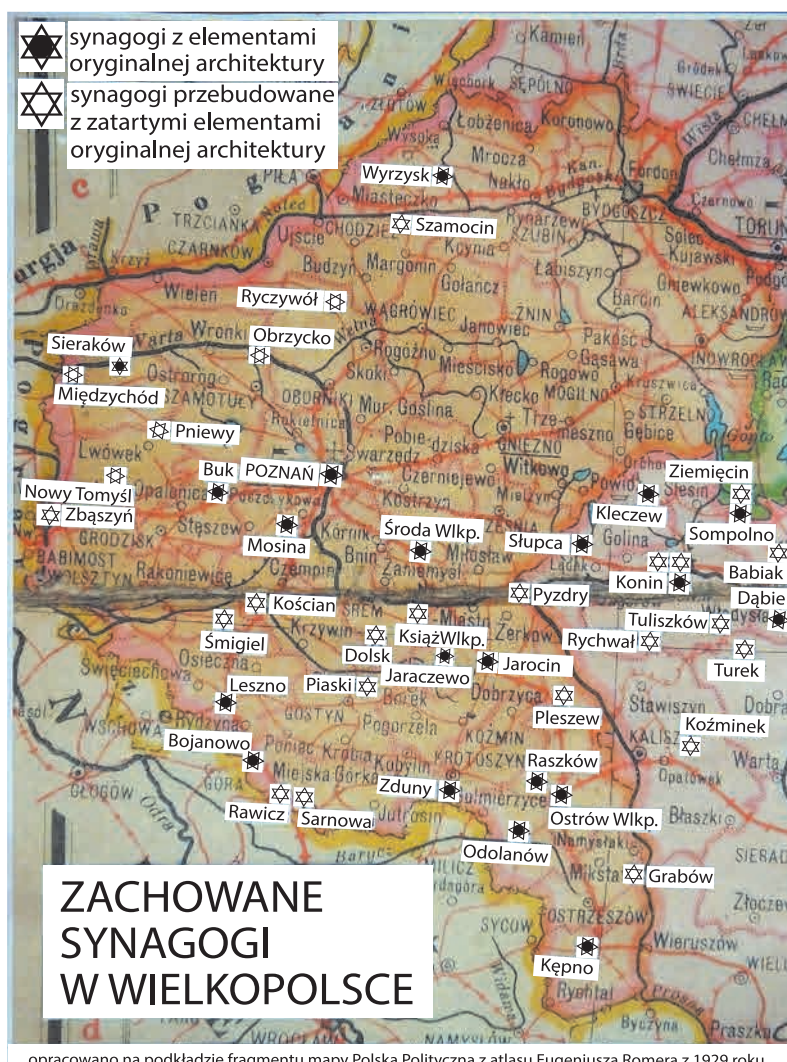
Do wieku XIX dość liczne społeczności żydowskie mieszkaly w całej Wielkopolsce, głównie w miastach. Razem koło 50 tysięcy. Pod koniec XVIII wieku w Poznaniu było około 2300 Żydów, co stanowiło jakieś 20 proc. populacji. Niewiele, wobec miliona w całej Koronie i 50 proc. ludności żydowskiej w miastach. Te dysproporcje powiększyły się znacznie w czasach zaborów z powodu odmiennej polityki państw zaborczych. W Wielkim Księstwie Poznańskim w pierwszej połowie XIX wieku mieszkało maksymalnie 76 tysięcy (6 proc. ludności) osób pochodzenia żydowskiego. Liczba ta spadła w 1910 r. do 26,5 tysiąca (1,3 proc.). Do tej zadziwiającej statystyki należy dodać, że niedługo po odzyskaniu niepodległości, w 1921 roku, w województwie poznańskim mieszkało zaledwie 13 324 tys. osób narodowości żydowskiej. I liczba ta dalej malała przez cały okres międzywojenny.

Zupełnie inaczej wyglądało to w południowej i wschodniej części regionu, które były częścią zaboru rosyjskiego i jego zachodniej części, czyli Królestwa Polskiego. Tu, podobnie jak w całym Królestwie, nastąpił kilkukrotny wzrost liczby ludności pochodzenia żydowskiego. Oprócz zwyczajnego rozwoju demograficznego zdecydowali o tym liczni przyjezdni ze wschodu. Osiedlali się oni w związku z szybkim rozwojem gospodarczym miast, z Kaliszem na czele.

Przed II wojną w niedużym Kaliszu zamieszkiwało ponad 20 tysięcy Żydów, wobec niecałych 2 tysięcy w wielkim Poznaniu. Holokaust unicestwił wszystkich. Namiestnik Kraju Warty, Artur Greiser, wyprzedził swoją inicjatywą „oczyszczenia z Żydów” decyzje najwyższych władz hitlerowskich.

Podobny los miał spotkać dorobek kultury materialnej. Niszczono synagogi i cmentarze. W starannie zaplanowany sposób rozgrabiono nie tylko posiadane przez Żydów dzieła sztuki, ale i całe wyposażenie mieszkań, nawet ubrania. Zdawać by się mogło, że nie pozostał kamień na kamieniu.

Po tej wieloletniej koegzystencji społeczności polskiej i żydowskiej pozostały pamiątki kultury materialnej. Ostatnie cmentarze i budynki świątyni. Synagogi, zwane też bożnicami lub bóżnicami. Często zapomniane i nieobecne w naszej świadomości. Tak wyparte z naszej pamięci historycznej, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile ich jest. Czy ktoś



opracowano na podkładzie fragmentu mapy Polska Polityczna z atlasu Eugeniusza Romera z 1929 roku

wie, że w Wielkopolsce zachowało się aż 45 budynków synagog?

„Pamiątki i zabytki kultury żydowskiej w Polsce” naliczyły ich 29. Tylko 38 podaje Iwona Markuszewska w artykule „Synagogi w Wielkopolsce”. Nie policzył ich Wirtualny Sztetl, portal zajmujący się historią Żydów w Polsce. Symptomatyczne jest, że projekt ich opisania w polskiej Wikipedii widnieje jako porzucony. Jakoś nikomu nie chciało się go dokończyć.

Pełnej listy synagog nie znajdziemy w spisie zabytków. Bo zdaniem konserwatorów zabytkami są tylko synagogi w Kępnie, Dąbiu, Koninie, Ziemiecinie, Lesznie, Sierakowie, Ostrowie Wielkopolskim, w Mosinie i Bojanowie. Raz nazywane są tam bożnicami, kiedy indziej synagogami. Na oficjalnej liście jest za to synagoga w Kórniku, nieistniejąca już od czasów wojny. Do tego dorzucano raptem 8 cmentarzy, jeden dom

modlitwy, jedną szkołę i poznańską kamienicę Gminy Żydowskiej. Nikt nie jest zainteresowany uzupełnieniem tej listy. Nawet organizacje żydowskie nie podejmują takich starań. Są bardziej zainteresowane odzyskaniem praw własności. Czasem z troski o ich los, ale zdarza się, że tylko po to, by je sprzedać bądź skomercjalizować.

Przez kilkadziesiąt lat po wojnie nikomu w Polsce nie przeszkadzało, że na kamiennych chodnikach i kostkach brukowych ulic są hebrajskie napisy z potłuczonych macew. Pamięć o Zagładzie Żydów nie była polską pamięcią. Podobnie było z architekturą. Sama, skromna z założenia forma żydowskich świątyni, nie miała ich wyróżniać. Synagogi nie ośmielały się konkurować z kościołami. Poznańska synagoga przy ulicy Wronieckiej była tu wyjątkiem. Jej monumentalna bryła o obcej, pseudobizantyjskiej formie wpisała się w niemiecki

plan tworzenia nowej, niepolskiej panoramy miasta. Nawet dzisiaj, mocno zredukowana w czasie wojny, przytacza swoją skalą.

Architektura synagog wielkopolskich do wybitnych nigdy nie należała. Bardzo załować należy unikatowej w formie, postawionej z polskiego szachulca, klasycystycznej bożnicy w Kórniku, rozebranej w czasie wojny przez okupantów. W XIX wieku przybierały one czasem przeróżne, eklektyczne formy. Nawiązywały do kościołów ewangelicznych z ich emporami, miały elementy klasyczne, neogotyckie, nawet mauretańskie. Wiele z nich zachowało je mimo licznych przebudów.

Kilka synagog po wojnie rozebrano, inne adaptowano na przeróżne cele, zacierając ich architekturę. Nikt nie chciał pamiętać, że ta pływalnia, sala gimnastyczna, biblioteka, magazyn, warsztat, sklep, te mieszkania - są w budynku dawnej synagogi. Podobny proces zapomnienia w psychologii określane jest jako „wyparcie”. Tylko na niektórych powieszono tabliczki informujące o dawnej funkcji. Część z nich zresztą już zardzewiała, ledwo wisi.

Nikt świadomie nie dokonywał na budynkach synagog jakiejś profanacji. Pokolenia poznaniaków pluskały się radośnie w basenie na Wronieckiej bez cienia wątpliwości, czy to wypada? Nawet dzisiaj wiele osób nie widzi nic złego w wieszaniu majtek w chińskim markecie na kamiennych i złożonych dekoracjach ołtarza synagogi w niedalekim Międzyrzeczu (historycznie Wielkopolska, obecnie woj. lubuskie).

Żadna z wielkopolskich synagog nie pełni już swojej pierwotnej funkcji sakralnej. Są przykłady wzorcowej opieki, jak w Ostrowie Wielkopolskim. Dobrze się mają obiekty w Kępnie i Lesznie. Są też takie, które po prostu stoją bez żadnej funkcji. Wiele synagog jest opuszczonych i w bardzo złym stanie. Gospodarze spokojnie czekają na zawalenie. Nie sprzyja im często nieuregulowana kwestia własnościowa i zwykle brak zainteresowania lokalnych władz. Te widziałyby najchętniej historie o ludności żydowskiej, która wniosła wielki wkład w rozwój naszego państwa i naszej kultury, zamknięte na amen w podrecznikach. Wygląda na to, że los synagog w Wielkopolsce mało kogo interesuje.

**Autor: Wojciech Hildebrandt**

*Cafy tekst na kulturaopodstaw.pl*

# Trzeba odgrzebywać ślady

Gdyby nie szaleństwo połowy XX wieku, na kaliskich ulicach słyhać byłoby języki polski, rosyjski, niemiecki, jidisz. I kilka innych. Z jednego punktu w mieście można było - obracając się - zobaczyć dach synagogi, kopuły cerkwi, świątynie katolików i ewangelików - opowiada Izabela Fietkiewicz-Paszek, współtwórczyni Stowarzyszenia Promocji Sztuki Łyżka Mleka.

**Kuba Wojtaszczyk: Polska wielokulturowa, czyli jaka?**

**Izabela Fietkiewicz-Paszek:** Odpowiem nieco łukiem obchodząc pana pytanie. Kilka miesięcy temu pisałam reportaż o historii Babinki - kanału, który płynął przez samo serce dawnej dzielnicy żydowskiej, zasypanego w 1942 roku przez hitlerowców m.in. książkami z kaliskich, głównie żydowskich, bibliotek i domów. Bezprecedensowa historia śmierci tysięcy książek, symboliczny akt barbarzyństwa wobec wielowiekowej obecności diaspory w Kaliszu. Dziś dawna odnoga Proсны to długi na kilkaset metrów pas zieleni, ulubiona trasa spacerowa kaliszczan. Przygotowując materiał do pracy nad tekstem, przechadzałam się wzdłuż alei, pytając przechodniów, co wiedzą o tym miejscu. Reportaż przerodził się w historię o kłopotach z pamięcią, o zbiorowym grzechu zaniechania wobec Małej Ojczyzny. Okazało się, że tylko nieliczni z moich rozmówców mieli choćby blade pojęcie o tym, co kryje w sobie ziemia, po której codziennie chodzą.

Polska wielokulturowa? Polska po II wojnie światowej stała się homogeniczna. Po wielowiekowym współistnieniu - odsuńmy na moment próbę dyskusji, na ile zgodnym - zniknęły „inne” tożsamości, narodowości, kultury, wyznania, języki. Właśnie - „inne”, czyli „obce”? A może „inne” tutejsze? Ale geny i memy nie dają się tak łatwo „wysterylizować”; mentalność, przestrzeń, rodzinne albumy, język, strychnie, nie wiem co jeszcze - wszystkie te mikrohistorie i mikroświaty żyją wbrew naszemu zapomnieniu czy wyparci.

Polska wielokulturowa, czyli jaka? Ta amputowana w latach 40.

**Stowarzyszenie Łyżka Mleka organizuje Kaliski Tygiel Kulturowy, aby „przynajmniej raz w roku powrócić do dawnego miasta, w którym żyli Polacy, Rosjanie, Żydzi, Niemcy, Ormianie, Grecy. Żyli, nawet jeśli nie ze sobą, to obok siebie. Nie przeciw sobie. Dzisiaj nie ma tamtych ludzi ani miejsc, które należały do nich i do ich kultury. Nie pozostało niemal nic. Próbuje szukać tego niemal”. Sentyment, czy może coś więcej?**

- Zastanawiałam się kilka lat temu, jak w tak krótkim opisie zaakcentować ideę, która miała przyświecać temu aspektowi działań stowarzyszenia. Mam nadzieję, że udało się ją zakodować w stwierdzeniu: żyli, nawet jeśli nie ze sobą, to obok siebie. Nie przeciw sobie. Kalisz był



wielokulturowym, narodowościowym, językowym i wyznaniowym tygłem, z nieodłączną dla różnorodności urodą, ale i z nieodłącznymi dla różnorodności problemami społecznymi. Jednak koegzystencja trwała - w przypadku Żydów 800 lat; trudno wobec tego faktu bezustannie ustawiać jednych w roli „gospodarzy”, drugich w roli „gości”. To po prostu było codzienne życie obok siebie, ze sobą. Ostatnie kilkadziesiąt lat to Kalisz (oczywiście nie stuprocentowo) „jednorodny”, co w porównaniu z kilkusetletnią historią jest naprawdę momentem; choć z perspektywy pokoleń urodzonych po wojnie - to zastana rzeczywistość, innej nie ma, a dostrzeżenie pod jej powierzchnią wielokulturowości, „z której my wszyscy”, wymaga wysiłku. Czy wyłącznie sentyment każe nam tam zaglądać? Może na początku tak, sentyment, ciekawość, apetyt na egzotykę? Ale z czasem robi się poważnie.

**Jaki był przedwojenny Kalisz?**

- Gdyby nie szaleństwo połowy XX wieku, na kaliskich ulicach słyhać byłoby języki polski, rosyjski, niemiecki, jidisz. I kilka innych. Z jednego punktu w mieście można było, obracając się, zobaczyć dach synagogi, kopuły cerkwi, świątynie katolików i ewangelików. Przedwojenne kaliskie realia były - oczywiście jak w całej II Rzeczypospolitej - skomplikowane,

20 lat świeżej niepodległości to był zbyt krótki czas, by ukształtowało się zdrowe, obywatelskie społeczeństwo. Lubimy idealizować przeszłość, myśleć o tych latach z wielkim sentymentem, to zrozumiałe, ale warto pamiętać, że była to niezwykle złożona i pełna wewnętrznych napięć rzeczywistość.

Musimy i o tym pamiętać, że w sierpniu 1914 roku Kalisz został zbombardowany, następnie spalony przez oddziały majora Hermanna Preusker. Był najbardziej zniszczonym miastem w Europie w czasie I wojny światowej, wyglądał jak Warszawa po powstaniu warszawskim. W dwa sierpniowe tygodnie 95 proc. zabudowy staromiejskiej przestało istnieć, wkrótce liczba mieszkańców spadła z 70 do 5 tys. To był bestialski akt wobec bezbronno miasta bez strategicznego znaczenia. I to był koniec świetności Kalisza. Niezwykle obrazowo opisała tę tragedię Maria Dąbrowska w Nocach i dniach. Międzywojnie oznaczało więc odbudowę. Niestety, dawnej urody, wielkości, wreszcie: znaczenia - gród nad Prosną nie odzyskał nigdy.

W przededniu II wojny światowej Kalisz liczył ponad 81 tys. mieszkańców, w tej liczbie ok. 27 tys. to Żydzi, a ok. 5 proc. Niemcy, Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini. We wrześniu 1939 roku miasto znalazło się w Kraju Warty, zostało wcielone do

Rzeszy. Co to znaczyło dla Żydów, wiemy. Wiosną 1942 roku z kaliskiego getta ostatnie 150 osób wysiedlono do Łodzi. Kalisz ist judenrein geworden. I to właściwie koniec tamtego świata.

**Jak Łyżka Mleka pomaga rozszerzyć horyzonty?**

- Rozważnie. Mam ambiwalentny stosunek do renesansu kultury żydowskiej w Polsce, obawiam się tej swoistej „mody na żydowskość”, ciąży nad nią widmo „Żyda z pieniążkiem”, takiego - powiedzmy - filosemityzmu korzystającego z zestawu antysemitycznych kodów kultury. Krótko mówiąc owa moda często raczej utrwała obrazek z jednej strony stereotypowego Żyda, a z drugiej - polsko-żydowskiej baśni przerwanej przez Hitlera. A pamiętać trzeba, że antysemityzm nie zaczyna się wtedy, gdy bije się Żydów. Jak to ujęła Joanna Tokarska-Bakir: żywiłowy antysemityzm ustępuje tu dziś miejsca równie żywiłowemu filosemityzmowi, z pominięciem fazy przepracowania. Dlatego ważne jest, by „nie wylać dziecka z kąpielą”, by poszerzając horyzonty, nie żonglować stereotypami, tak po gombrowiczowsku - nie „upupiać” żydowskości.

**Rozmawiał: Kuba Wojtaszczyk  
Zdjęcie: Mariusz Forecki**

*Cały wywiad na [kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)*

# Świat utracony bezpowrotnie

Powojenne dzieje byłego obozu w Chełmnie nad Nerem, gdzie zamordowano co najmniej 150 tys. Żydów, nie są łagodną opowieścią o zapomnieniu. We wsi każdy wiedział, że teren gminnej spółdzielni był miejscem Zagłady Żydów. Nikomu to nie przeszkadzało - o Żydach w Wielkopolsce i pamięci o nich opowiada Zbigniew Pakuła.

**Noah Lasman, Żyd z Poznania, podczas wizyty w mieście po 50 latach, powiedział: „nikt już tutaj nie zna Żydów”. Pańska książka „Siwe kamienie” i inne teksty, działania, ocalają resztki wspomnień Żydów i o Żydach z Wielkopolski. Jak to jest opowiadać o nieistniejącym świecie?**

**Zbigniew Pakuła:** - Noah ma rację. To jest świat utracony bezpowrotnie. Od wielu lat zbieram jego okruchy i schylam się po reszki. Choć je zapisuję, są nie do sklejenia. Nie mówiłbym więc o ocaleniu. To niemożliwe. Zapisalem zaledwie kilka kartek. Mieszczą się na nich okruchy życia kilku poznańskich Żydów. A kartek pustych są tysiące i to one opowiadają o nieistniejącym świecie najpełniej, bo w milczeniu. Tak jak kamienie, nieme i siwe z bólu, jak pisała urodzona w Opatówku pod Kaliszem poetka Łucja Pinczewska-Gliksman.

**Żydzi byli niegdyś znaczącą społecznością w Wielkopolsce, znaczący był też ich wkład w kulturę. Kiedy się pojawili?**

- Byli od początków kształtowania się państwowości. Za Danielem Tolettem powtórzę: osiedlali się prawdopodobnie już w X wieku. Od XIII wieku wspólnoty były na tyle silne, że uzyskiwały przywileje lokalne. Według szacunków dla roku 1578 udział Żydów w strukturze mieszkańców Wielkopolski był prawie dwukrotnie wyższy niż w Małopolsce. W źródłach Archiwum Skarbu Koronnego możemy znaleźć informacje, z których wynika, iż w latach 1674 i 1676 największy odsetek wśród ogółu mieszkańców stanowili Żydzi we Wronkach (52,7 proc.), Kaliszu (36,7 proc.) i Poznaniu (32,3 proc.). Tych liczb nie można lekceważyć, powtarzając popularną w Poznaniu tezę o małym znaczącym udziale Żydów w życiu Poznania. Jest bliska prawdy, gdy odnosi się do okresu międzywojennego, a fałszywa, gdy na historię miasta spoglądamy w dłuższej perspektywie.

**Kiedy skończył się świat wielkopolskich Żydów?**

- Polsko-żydowski węzeł przecięła Zagłada. Wiele osób opuściło Poznań przed wkroczeniem Niemców, reszta została przesiedlona w grudniu 1939 roku, przechodząc przez obóz przy ulicy Główniej. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział o „ostatecznym rozwiązaniu”. Po wywiezieniu poznańscy Żydzi rozproszyli się, mieszkali w gettach lub uciekali do sowieckiej Rosji. Ci ostatni mieli największe szanse



przeżycia. Z poznańskich Żydów ocalało prawdopodobnie około 200-300 osób. Ci, którzy przeżyli w obozach zagłady, zazwyczaj do Poznania nie wracali. A jeżeli wracali, to z niego emigrowali.

**Czy mamy świadomość, co straciliśmy bezpowrotnie?**

- Pewnie każdy z nas ma różną świadomość. Dlatego ważne jest, by dziedzictwo żydowskie (także i niemieckie) było bardziej widoczne. Nie rozwiąże tego modna dzisiaj „festiwalizacja” życia kulturalnego, chociaż w wielu wypadkach nie można jej odmówić wartości i zarzucić braku krytycznego myślenia. Punkt ciężkości należałoby raczej przenieść na „praktyki pamięci” i edukacyjną pracę u podstaw. Potrzeba też odwagi, by zmierzyć się z negatywną przeszłością, złem wyrządzonym dawnym sąsiadom. Gdybym miał odnieść te postulaty do Poznania, to pomimo narastającej w społeczeństwie fali ksenofobii, w obecnej polityce kulturalnej władz dostrzegam świadomość konieczności rozwoju miasta, opartego na dziedzictwie. A to sprzyja akceptacji obcych i dobrym relacjom ze światem, bo dziedzictwo łączy, a nacjonalizm dzieli.

**W obozie w Chełmnie nad Nerem zamordowano co najmniej 150 tys. Ży-**

**dów. Muzeum powstało tam w 1998 r. W latach 1945-98 miejsce należało do gminnej spółdzielni, odbywał się tam skup żywca, handel zbożem... Opowieść o wielkopolskich Żydach to opowieść o zapomnieniu?**

- Dotyka pani bolesnej rany. Każdy w Chełmnie wiedział, że teren gminnej spółdzielni był miejscem Zagłady Żydów. Nikomu to nie przeszkadzało. Dopiero po ponad 50 latach, które minęły od tamtych straszliwych wydarzeń, Łucji Nowak, dyrektor konińskiego muzeum, udało się przywrócić temu miejscu godność. Ale powojenne dzieje byłego obozu Kulmhof nie są łagodną opowieścią o zapomnieniu. To brutalna historia manipulacji pamięcią, świadomego wyparcia i obojętności. Nas, świadków, niezwykle upokarzająca. Nigdy nie da się zmyć naszej odpowiedzialności za znieważanie tego miejsca.

**Po II wojnie, po Holokauście i pierwszych latach powojennych, kiedy wyjechała reszta, praktycznie nie ma już w Wielkopolsce Żydów. Wyjechała większość Niemców. Zniknęła wielokulturowość, która określała niegdyś Wielkopolskę. Czasopismo Miasteczko Poznań do niej powraca?**

- Powraca przekornie. To prawda, że

piszemy o wielokulturowej przeszłości Poznania i Wielkopolski. Ale bez naukowych aspiracji. A przekora polega na tym, że interesuje nas życie, to, co dzieje się tu i teraz. W regionie i na terenie kraju. Zaglądamy do Berlina i do Tel Awiwu. Piszemy o literaturze, sztukach wizualnych, teatrze i filmach. W czasopiśmie nie ma granic.

**Miasteczko Poznań jest projektem obywatelskim, wyjątkowym w Polsce.**

- To prawda, czasopismo jest jedynym, które jako projekt obywatelski przetrwało 15 lat. Początkowo wydawałem je z własnych oszczędności, później pomagały nam władze Poznania i samorządu wielkopolskiego. Teraz, po raz pierwszy tak mocno, mam poczucie, że władze rzeczywiście doceniają i rozumieją wykonywaną przez nas pracę. Dzięki prezydentowi Jędrzejowi Solarskiemu i dyrektor Justynie Makowskiej mamy przystań – Dom Spotkań, w którym mieści się redakcja *Miasteczka Poznań* – i to w wyjątkowym miejscu, przy ulicy Żydowskiej. Rozpoczynamy nową podróż.

**Rozmawiała: Daina Kolbuszewska**

**Zdjęcie: Mariusz Forecki**

*Cały wywiad na [kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)*

# Protestanci, nasi sąsiedzi

W 1857 r. z Brandenburgii przybył do Poznania Eduard Gustav Staemmler. Został ordynowany na duchownego ewangelickiego i w 1858 r. trafił do Dusznik, k. Poznania. Była to bardzo rozległa gmina wyznaniowa, obejmująca 20 miejscowości zamieszkałych przez około 700 ewangelików, w większości Niemców - o protestantach w Wielkopolsce opowiada prof. Olgierd Kiec.

**Daina Kolbuszewska: Gdyby nie było protestantów w Wielkopolsce... Prof. Olgierd Kiec, znawca dziejów protestantyzmu w Polsce:** ... pewnie Wielkopolska inaczej by wyglądała. Począwszy od mentalności Wielkopolan, a skończywszy na architekturze i krajobrazie.

**Szlachta polska sprowadziła pod koniec XVIII w. do Polski dużą liczbę niemieckich osadników protestanckich.**

- Robiła mniej więcej to samo co Komisja Kolonizacyjna w XIX w. Nawet liczby są podobne, biorąc pod uwagę wzrost ludności w okresie zaborów. Do rozbiorów polska szlachta wsparła utworzenie ok. 13 tys. gospodarstw niemieckich, nazywanych ołędzskimi. A Komisja Kolonizacyjna utworzyła ok. 19 tys. gospodarstw. Różnica jest taka, że Komisji Kolonizacyjnej pocztytuje się to za działalność negatywną. Polska szlachta robiła to dla zysku. Osadników niemieckich sprowadzono i osadzono na lepszych warunkach, niż mieli w tym czasie polscy chłopci.

**Parafie ewangelickie powstawały masowo w latach 70. do 90. XVIII w., tuż przed rozbiorami.**

- Wprowadzono wtedy tolerancję religijną w Rzeczpospolitej i otworzono drzwi dla emigracji protestanckiej. Kiedy Prusacy weszli do Wielkopolski, zastali ok. 100 parafii ewangelickich. Historia niektórych sięgała XVI w., wiele powstało w II poł. XVIII w. Modernizacja państwa i społeczeństwa oraz polityka germanizacyjna sprawiły, że po stu latach pruskiego panowania, na początku XX w., w Wielkopolsce było już 275 parafii ewangelicko-unijnych. Kształtowały życie społeczne i narodowe miejscowych protestantów - ok. 30 proc. mieszkańców pruskiej Prowincji Poznańskiej.

**Ukazały się właśnie przetłumaczone i opracowane przez pana wspomnienia pastora Johanna Staemmlera. Kiedy rodzina Staemmlerów trafiła do Wielkopolski?**

- Pod koniec marca 1857 r. z Brandenburgii przybył do Poznania Eduard Gustav Staemmler. Został ordynowany na duchownego ewangelickiego i w 1858 r. trafił do Dusznik, k. Poznania. Była to bardzo rozległa gmina wyznaniowa - 20 miejscowości zamieszkałych przez około 700 ewangelików, w większości Niemców. Na jej obszarze znajdowały się trzy parafie rzymskokatolickie, zamieszkałe przez ponad 6 tysięcy katolików, w większości Polaków. Typowa diaspora polsko-niemieckiego pogranicza.



**W 1860 r. przyszedł na świat jego syn Johannes, autor wspomnień, który przyjaźnił się później z prezesem Komisji Kolonizacyjnej Friedrichem Gramschem.**

- Przyjaźń tę nawiązał w gimnazjum w Sulechowie, cieszącym się w XIX w. znaczną renomą i uchodzącym za kuźnię kadr państwa pruskiego. W latach 1908-1913, kiedy Gramsch był prezesem komisji, Staemmler pełnił funkcję superintendenta ewangelickiej diecezji obejmującej Poznań i okolice. Ścisłe współpracował z Gramschem w zakładaniu niemieckich wsi, mających otoczyć stolicę Wielkopolski i przyczynić się do jej germanizacji.

Ukończywszy sulechowskie gimnazjum, Johannes studiował teologię w Niemczech, kilka miesięcy spędził jako nauczyciel domowy w Kurlandii należącej do Imperium Rosyjskiego. A potem był pastorem w rodzinnych Dusznikach, w Bydgoszczy, Gnieźnie i wreszcie ćwierć wieku w Poznaniu.

**Okres 10-letniej pracy w parafii w Dusznikach Staemmler przedstawił we wspomnieniach.**

- Staemmler barwnie opisał życie codzienne, w tym kontakty z ewangelickimi parafianami oraz z katolickimi i żydowskimi sąsiadami. Sporo miejsca

poświęcił wypełnianiu obowiązków lokalnego inspektora szkolnego czy nawet specjalisty od leczenia schorzeń i zranień. Renoma, jaką zyskał dzięki swym medycznym umiejętnościom, przyciągała zwłaszcza Polaków, zwykle chłopów, nie tylko zresztą miejscowych. Decydujące były tu zresztą nie tylko umiejętności, ale także duchowny stan „medyka” - zdarzało się, że pomocy szukały osoby poważnie chore, przekonane, iż sam kontakt z pastorem wystarczy do wyleczenia.

**W Poznaniu Staemmler w pełni rozwinął swój talent duszpasterski i organizacyjny, szybko awansując w kościelnej hierarchii.**

- Oprócz pełnienia stanowisk duchownych mocno zaangażował się w działalność społeczną. Jego najbardziej oryginalnym projektem był Ewangelicki Związek Wychowawczy, utrzymujący w poznańskiej dzielnicy Wilda sierociniec oraz internat dla najmłodszych ewangelików obojga płci z terenu całej Prowincji Poznańskiej.

Kontynuował też, z poparciem Komisji Kolonizacyjnej, działania na rzecz tworzenia nowych parafii ewangelickich na terenie jego diecezji, m.in. w Żabikowie, Krzesinach i Morasku.

**Staemmler nie jest lojalny wobec polskich władz po 1918 r., ale nie może być deportowany, bo ma polskie obywatelstwo. W 1930 r., jako emeryt, wyjeżdża do Niemiec. Jego syn Martin jest członkiem NSDAP, lekarzem i jednym z ekspertów rozwiązywania kwestii rasowej w Rzeszy, inny syn angażuje się w działalność opozycyjnego Kościoła Wyznającego, co przyciąga więzieniem... Z dzieci pozostałych w Polsce - Gerhard ginie w 1939 r. samobójczą śmiercią, Siegfried zostaje zastrzelony przez polskiego policjanta. Sam Johannes umiera w 1946 r. Jego wnuk przerzuca jednak pomost między kulturą polską i niemiecką.**

- Klaus Staemmler, syn Siegfrieda, po wojnie mieszkał w Niemczech Zachodnich, gdzie stał się jednym z najbardziej znanych tłumaczy literatury polskiej: twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, Zbigniewa Herberta, Stanisława Lema, Hanny Krall, Jerzego Andrzejewskiego i wielu innych pisarzy. W 1993 r. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza nadał mu tytuł doktora honoris causa.

**Rozmawiała: Daina Kolbuszewska  
Zdjęcie: Mariusz Forecki**

*Cały wywiad na kultutraupodstaw.pl*

# Ludzie nie gasną jak świece

- Kiedy uprzątnęliśmy cmentarz ewangelicki w Borowie, niewielkiej wsi w powiecie konińskim, to raptem „zmartwychwstał”, stał się nim na nowo, zupełnie od zera. Przedtem pokrywał go jeden wielki gąszcz - opowiada Damian Kruczkowski, współzałożyciel i wiceprezes Wielkopolskiego Stowarzyszenia na Rzecz Ratowania Pamięci „Frydhof”.

**Sebastian Gabryel: W każdej kulturze cmentarze to miejsca święte. Dlaczego więc wciąż nie poświęcamy im wystarczająco dużo uwagi? Przecież - koniec końców - wszyscy na nie trafimy...**

**Damian Kruczkowski:** Człowiek jest człowiekiem, dopóki żyje. Niestety, z moich wieloletnich obserwacji wynika, że kiedy umiera, staje się towarem - dla Kościoła, dla zakładu pogrzebowego... Zaczyna liczyć się już tylko to, ile i kto za niego zapłaci. No i wtedy zaczyna się całe zamieszanie - na zasadzie: teraz postawimy mu pomnik - mniej dla zmarłego, a bardziej dla siebie i sąsiadów. Dołożymy sztucznych kwiatów, naznowimy zniczy...

**Typowa „pokazówka”.**

- Dokładnie. Paradoksalnie, dziś śmierć odczuwacza ludzi, którzy żyją. Cmentarz - miejsce, które teoretycznie powinno być otoczone czcią, być miejscem sacrum - staje się cyrkową areną, na której żywi ścigają się ze sobą, zupełnie zapominając o zmarłych. Później, kiedy odchodzi pierwsze pokolenie ich krewnych, kolejne czasem przestaje dbać o miejsca ich pochówku. Koniec końców, one właściwie przestają istnieć, bo nikt się nimi nie zajmuje. Aż w końcu gminy przekształcają je w tereny rekreacyjno-wypoczynkowe, tereny zielone... Wierz mi, to nie są odosobnione przypadki - taki status ma naprawdę wiele cmentarzy ewangelickich czy żydowskich, które już nie funkcjonują.

**Brzmi to bardzo przynębiająco.**

- Cóż, daliśmy sobie przyzwolenie na odzieranie człowieka zmarłego z jego człowieczeństwa, a miejsc świętych z sacrum.

**To postępująca tendencja?**

- Sądzę, że tak. To złożony proces, jednak ma on wiele wspólnego z tym, o czym mówi się już od kilkudziesięciu lat. Żyjemy w świecie, w którym powszechny jest kult piękna i zdrowego ciała, w rzeczywistości, w której słowa „fit”, „health” i „wellness” odmiennie są przez wszystkie przypadki. Mamy być piękni, silni i zdrowi.

**Jak gdyby nieśmiertelni.**

- Dlatego żyjemy w przekonaniu, że choroba, starość i śmierć nigdy nas nie dośięgną. Doszło do sytuacji, w której nawet seniorom nie pozwala się „zestarzeć”, nikt nie chce mówić o tym wprost. Jakby wszyscy zapomnieli, że takie podejście nie jest w niczym pomocne, bo kiedy przychodzi już ten nieunikniony moment choroby czy umierania, radzimy sobie z nimi o wiele trudniej, niż gdybyśmy zdążyli się z nią trochę „oswoić”.



**Co było największym impulsem do powstania Wielkopolskiego Stowarzyszenia na Rzecz Ratowania Pamięci „Frydhof”? Podobno wszystko zaczęło się od posprzątania jednego z grobów na cmentarzu ewangelickim w starej części Konina...**

- Z początku ja i Urszula Karolczak (prezes Stowarzyszenia - przyp. red.) działaliśmy niezależnie od siebie, nawet nic o sobie nie wiedząc. Pracowaliśmy w dwóch niesformalizowanych grupach - ja w Koninie, ona w Kole. Później zdecydowaliśmy się połączyć je, zwłaszcza że przyświecał nam ten sam cel: zachowanie pamięci. Nie ma w nas wewnętrznej zgody na to, by człowiek umierał tak, jak gaśnie świeca, której płomień znika i nie ma już nic. Uważam, że jeśli ktoś istniał - a co za tym idzie - coś stworzył, coś wniósł, powinien żyć dalej w pamięci ludzi.

**Non omnis moriar...**

- Albo „Wybudowałem pomnik trwalszy niż ze spiżu...”. Powinniśmy pamiętać o tym, że to, co mamy, jest wyłącznie dzięki tym, których już nie ma. To, z czego dziś korzystamy, wymyślił ktoś żyjący przed nami. Naszą cywilizację stworzyli ci, którzy już nie żyją. Oczywiście, dorzucamy do niej nową cegiełkę, jednak czym ona jest w obliczu tysięcy cegieł? Myślę, że warto o tym pamiętać.

**Prowadzicie działania w całej Wielkopolsce. Ile cmentarzy w naszym regionie objęliście do tej pory opieką? I o których z nich warto powiedzieć coś więcej?**

- Pracowaliśmy już na kilkunastu cmentarzach. Na przykład na cmentarzu ewangelickim w Borowie - niewielkiej wsi w powiecie konińskim, w gminie Krzymów. Sprawa wygląda tam tak, że ta nekropolia leży na działce, która teoretycznie jest częścią terenu prywatnego. Po tym cmentarzu naprawdę niewiele zostało, zachowało się zaledwie kilka nagrobków. Był całkowicie zarośnięty, przechadzały się po nim kury, wszędzie walały się jakieś zardzewiałe sprzęty gospodarskie. Wycięliśmy więc wszystkie krzaki, zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy na nim zrobić. Niestety, właściciel cały czas twierdzi, że to miejsce jest jego własnością. Gmina nie zadbała o to, żeby ten teren wydzielić. Wciąż liczymy na pozytywne rozwiązanie sporu, zwłaszcza że lokalne władze włączyły się w prace na tym cmentarzu - poleciły wykonać opryski, mające przeciwdziałać odrastaniu chwastów, obiecały ogrodzić cały teren. Na pewno warto to zrobić, zwłaszcza że ten cmentarz „zmartwychwstał”, stał się nim na nowo, zupełnie od zera. Przedtem pokrywał go jeden wielki gąszcz, nie wyglądał jak godne miejsce pochówków.

**Pojawiacie się głównie na cmentarzach ewangelickich. Wymagają największej troski?**

- Najczęściej pojawiajemy się na cmentarzach ewangelickich, choćby dlatego, że najczęściej się na nich zachowało. Wymagają natychmiastowych działań, by móc uratować to, co jeszcze na nich istnieje. Często są to nagrobki - potłuczone, zrujnowane, ale możliwe do naprawy. Na cmentarzach żydowskich pojawiajemy się nieco rzadziej, bo często oprócz wykoszenia trawy i wycięcia krzaków, nie ma na nich co robić. Oprócz ludzkich szczątków, które zostały w ziemi, nie ma tam już nic. **Obecnie „Frydhof” tworzy 18-osobowa grupa wolontariuszy. Kim są „grobersi”, jak często bywacie nazywani?**

- Nasza załoga jest bardzo różnorodna. Ja z zawodu jestem szkoleniowcem, Ula jest kierownikiem Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, Przemek - informatykiem, Robert - emerytowanym górnikiem. Są z nami pastor, nauczyciele, ludzie po filologii, po prawie... Nie mamy żadnych kryteriów naboru. Liczy się tylko to, że mamy wspólny cel. Jeżeli ktoś chce ratować pamięć o tych, którzy przeminęli, to nasze drzwi zawsze stoją przed nim otwarte.

**Rozmawiał: Sebastian Gabryel**

**Zdjęcie: Mariusz Forecki**

*Cały wywiad na [kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)*

# Nowe życie prawosławia

Moi obecni parafianie są bardzo zróżnicowani pod względem narodowościowym. Wśród naszej wspólnoty poza Polakami są także Grecy, Mołdawianie, Rumunii, Serbowie, a także Łemkowie i Białorusini. Ze względu na emigrację zarobkową, mamy w Poznaniu coraz więcej Ukraińców - mówi o. Paweł Minajew, proboszcz prawosławnej cerkwi pw. św. Mikołaja w Poznaniu.

**Adam Olaf Gibowski: Zanim zaczniemy rozmawiać, jak wspólnota prawosławna w Poznaniu i Wielkopolsce wygląda dziś, sięgnijmy do korzeni. Jak prawosławie dotarło w nasze strony?**

**Paweł Minajew:** To był proces bardzo złożony i najpierw musielibyśmy sobie odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy Wielkopolska. Obecnie na terenie naszego województwa działają dwie cerkwie jedna w Kaliszu, a druga w Poznaniu, w której prowadzę posługę duszpasterską. Prawosławie ma bardzo stare tradycje na ziemi kaliskiej, bo sięgające połowy XVIII wieku. W Poznaniu natomiast pierwsza parafia prawosławna powstała dopiero w czasach dwudziestolecia międzywojennego, co więcej była parafią garnizonową, powołana została z myślą o żołnierzach, którzy służyli na ziemiach zachodnich, a pochodzili ze wschodnich rubieży Polski. Do wzrostu liczby prawosławnych w Poznaniu w tamtym czasie, bardzo przyczyniła się tzw. „biała emigracja”, uchodząca z Rosji przed rewolucją bolszewicką. Byli to najczęściej żołnierze byłej armii carskiej.

**To znaczy, że gdyby nie ówczesna emigracja, prawosławie w Poznaniu by nie przetrwało?**

- Trudno właściwie to osądzić, musielibyśmy przyjąć model myślenia, co by było, gdyby... Jedno jest pewne, ta emigracja bardzo wzmocniła mniejszość prawosławną. Trzeba pamiętać, że do I wojny światowej w Poznaniu byli głównie Grecy, którzy nie byli na tyle liczni, aby mogli powołać do życia parafię. Z tego co mi wiadomo, wtedy swoje nabożeństwa odprawiali w prywatnych domach. Zmianę w tej materii przyniósł dopiero rok 1924, kiedy naczelny kapelan prawosławny Wojska Polskiego, Bazyli Martysz dokonał konsekracji naszej świątyni. Do tego celu został przeznaczony drewniany barak, który w przeszłości był stajnią. W pewien sposób decyzja władz polskich, powołująca do życia parafię prawosławną, była polityczna. W zamysle władz cerkiew w Poznaniu miała zespalać prawosławnych żołnierzy z odrodzonym państwem polskim.

**Jak wyglądały losy wiernych prawosławnych w czasie okupacji niemieckiej?**

- Tu może zaskoczę odpowiedzią, ale nasza parafia przez całą II wojnę światową funkcjonowała w normalny sposób, prowadząc nieustannie regularną posługę wśród wiernych. Dopiero pod sam koniec wojny nastąpiła krótka przerwa w funkcjonowaniu parafii, trwała zaledwie kilka miesięcy, między styczniem a majem 1945 roku. Po tym okresie wszystko wróciło do normy.



**A okres PRL? To chyba nie był czas szczególnie przyjazny krzewieniu jakiegokolwiek religii, a przynajmniej nie było to widziane najlepiej przez ówczesne władze państwowe.**

- Nie było aż tak źle, jak może się wydawać. Oczywiście były pewne przeszkody, czy wręcz zakazy, które dotyczyły głównie obecności religii w życiu społecznym. Opowiem panu jedną historię, która to dobrze zilustruje. To było na samym początku mojej posługi w Poznaniu. Był rok 1987. Jeden z moich parafian przebywał w szpitalu MSWiA, chciał przyjąć sakrament namaszczenia chorych. Oficjalnie nie było to możliwe, ponieważ nie istniało coś takiego jak posługa duchownych w placówkach służby zdrowia. Dlatego też wszystko odbywało się pełnej konspiracji. Do szpitala przyszedłem w stroju cywilnym, aby nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń, że idę z posługą do chorego. Pomogła nam pewna pielęgniarka, która udostępniła małe pomieszczenie, w którym mogłem ubrać sutannę i stulę oraz udzielić sakramentu. Jednocześnie ta pielęgniarka stała na czatach, aby nic nie zostało zauważone i nie doszło do dyrektora szpitala.

**Ciekawa historia, obrazująca mechanizm omijania „jedynej, słusznej” linii, wytyczonej przez ówczesne władze. A jak dziś wygląda życie prawosławnych w Poznaniu?**

- Podobnie jak życie katolików, czy wyznawców innych religii. Moi parafianie wiodą normalne życie. To, co nas odróżnia, to z pewnością liczebność. Na chwilę obecną parafia św. Mikołaja liczy nieco ponad stu parafian, którzy biorą udział w nabożeństwach i życiu parafii.

**Czy poznańscy prawosławni to wyłącznie Polacy?**

- Nie, moi parafianie są bardzo zróżnicowani pod względem narodowościowym. Wśród naszej wspólnoty poza Polakami są także Grecy, Mołdawianie, Rumunii, Serbowie, a także Łemkowie i Białorusini. Ze względu na emigrację zarobkową mamy w Poznaniu coraz więcej Ukraińców, którzy także przychodzą do cerkwi.

**O to także chcę zapytać. Jak Ukraińcy odnajdują się w Poznaniu, jak im się tu podoba?**

- Myślę, że odnajdują się bardzo dobrze. Dość szybko się aklimatyzują. To, co mnie cieszy, to fakt, że nie dochodzą do moich uszu sygnały, które mogłyby mnie niepokoić. Nie słyszałem, żeby komuś z moich nowych parafian przytrafiły się jakieś przykre historie. Wprost przeciwnie, Ukraińcy uchodzą za bardzo dobrych pracowników, wykazują się sumiennością. Ta nowa fala emigracji jest dość efemeryczna. To ludzie, którzy przyjeżdżają na krótki okres, by zarobić pieniądze i wracać na Ukrainę. Raczej nie przyjeżdżają z myślą, aby osiedlić się tu

na stałe. Przychodzą do cerkwi, ponieważ w ten sposób zachowują duchową łączność ze swoimi bliskimi. W naszej liturgii istnieje coś takiego jak „pominowanie”, to specjalna modlitwa za bliskich.

**Liturgia to jedno, a jakich dodatkowych przedsięwzięć się podejmujecie?**

- Moi parafianie działają w Bractwie Cyryla i Metodego, a także w chórze cerkiewnym. Chętnie także angażują się w ruch pielgrzymkowy. Z wielką przykrością muszę wspomnieć o festiwalu „Tydzień kultury prawosławnej”, który organizowaliśmy razem z Barakiem Kultury, cieszył się ogromnym zainteresowaniem. Każda edycja odbywała się pod innym hasłem np. mistyka wschodu czy ikona. Niestety, na skutek braku dotacji przestał istnieć w roku 2012.

**Jak przyszłość czeka prawosławie w Poznaniu?**

- To wie tylko Bóg i wszystko w jego rękach. Ja jednak spoglądam w przyszłość z optymizmem. Tym bardziej, że w tym roku odnotowaliśmy rekordową ilość chrztów, odbyło ich się ponad 20. A w przeszłości bywały lata gdzie udzielałem raptem trzech sakramentów tego rodzaju.

**Rozmawiał: Adam Olaf Gibowski**

**Zdjęcie: Mariusz Forecki**

*Cały wywiad na [kulturaupodstaw.pl](http://kulturaupodstaw.pl)*



# wielkopolska.

## kultura u podstaw

### Po śladach

#### **judaizm, protestantyzm, prawosławie w Wielkopolsce**

Redaktor prowadzący: Iwona Torbicka

Koncepcja dodatku: Daina Kolbuszewska, Iwona Torbicka

Autorzy: Daina Kolbuszewska, Sebastian Gabriel, Kuba Wojtaszczyk,  
Adam Olaf Gibowski, Wojciech Hildebrandt

Zdjęcia: Mariusz Forecki

Projekt okładki i grafika: Dariusz Krupa

Wydawca: Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego/Departament Kultury

Skład: Iwona Dorna/Głos Wielkopolski

Druk: Polska Press Sp. z o.o



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA  
WIELKOPOLSKIEGO**